Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK IV NR. 20 (92)

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1936 R.

CENA 50 GR.

I to ma być Polska...?

Znajdujemy się w paradoksalnem położeniu człowieka, który wygrał zakład i zamiast ucieszyć się z tego, przyjął tę wygraną z uczuciem głębokiego smutku. Wszystko stało się od *a* do *zet* taksamo, jak przewidywał „Zet", a cała Polska — niestety — przegrała zakład. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Nadrenji wojna światowa wisi na włosku, a położenie Polski, rzuconej pomiędzy dwu sfanatyzowanych olbrzymów, gotujących się do skoku, jest dosłownie takie, jakiem alarmowaliśmy od lat (naprożno!) rząd i społeczeństwo polskie. Teraz dopiero wychodzi na jaw, że *trzeba było przygotować naród oddawna na tę chwilę*, otworzyć mu oczy na straszny dylemat dziejowy i zmobilizować duchowo całą Polskę do największego wysiłku energji, w porównaniu z którym rok 1920-ty był igraszką dziecinną. Teraz wychodzi to na jaw, w momencie gdy jest już może *zapóźno*...

Trzeba teraz powiedzieć, że — *nikt* w Polsce (dosłownie nikt!), bo ani rząd, ani sejm, ani „sanacja" ani „endecja", ani sfery kościelne, ani koła literacko-intelektualne, ani stronnictwa polityczne, ani organy prasowe wszelkich odcieni, nikt, powtarzamy, *nie przewidział* dokąd zmierzamy. Waliło wszystko na oślep w nastawioną pułapkę historyczną, jak ten pociąg bez maszynisty, z dramatu Niżyńskiego „Trzy mgły", gnający nieuchronnie na kruchy most. A „Zet", który tę całą sytuację uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością już 4 lata temu, który alarmował, groził, nawoływał, ostrzegał — numer za numerem — że zbliża się ta „chwila osobliwa", był „głosem wołającego na puszczy".

Teraz dopiero zaczyna się w kołach rządzących i w społeczeństwie ruch jakiś, niepokój, nerwowe podniecenie. Teraz dopiero budzi się — tak długo sparaliżowany — instynkt samozachowawczy i wola o wybrnięcie z ślepej ulicy. Teraz mówi się o mobilizacji energji społecznej, o zjednoczeniu mas do wielkiego, zbiorowego wysiłku, o konieczności dozbrojenia militarnego, o potrzebie jakiejś elektryzującej idei. Szuka się na gwałt źródeł mocy, aby przygotować naród na ewentualność gigantycznego zrywu, jaki może być lada dzień potrzebny. Wszędzie panuje dezorjentacja, z trybuny sejmowej, z szpalt czasopism i sal odczytowych nawołuje się do stworzenia własnej, polskiej linji, do przeciwstawienia wrogim potęgom kontr-idei i kontr-doktryny.

Ci co wołają, kryją oczywiście przed społeczeństwem ten wstydliwy fakt, że oni nic nie przewidzieli, a nas przewidujących wyśmieli i przemilczeli. Wydaje im się, że historję można oszukać, że od odpowiedzialności za śmierć i życie narodu można się wykpić paljatywami. Powiadają, że trzeba wzmocnić zbrojne pogotowie Polski. Lecz, aby to móc uczynić, trzeba mieć wielki, nowocześnie wyposażony przemysł, kapitały i zdrowy system gospodarki narodowej; wojna dzisiejsza będzie wojną integralną, którą wygra nie silniejsza armja, lecz silniejszy przemysł, technika i praca mózgów. Aby stworzyć taki potężny aparat — pomimo ubóstwa i wycieńczenia gospodarczego Polski — trzeba przezwyciężyć bezwład i rozkład społeczny, zorganizować siły psychiczne, pobudzić heroizm moralny mas; tymczasem robiono wszystko, by siły te obezwładnić, energję sparaliżować a wolę moralną zdeprawować. Dziś więc, by to naprawić, trzeba czegoś kolosalnego, jakiejś porywającej idei, któraby zjednoczyła naród, pozwoliła mu zapomnieć o nienawiściach wzajemnych i o niedoli materjalnej i wydobyła zeń maksimum energji. Polak zdolny jest do takich zdumiewających świat wysiłków. Ale my już jesteśmy wzięci pod obstrzał dwu ogromnych, światoburczych idej, uzbrojonych w uniwersalne doktryny i w plany działania, obliczone na tysiąclecie; własne nasze społeczeństwo uległo już w większej części suggestji i urokowi tych idej (zwłaszcza młodzież, bez której nic się nie da zrobić w takich przełomowych chwilach). Trzebaby więc, aby ten czar zerwać, *stworzyć ideję potężniejszą od wszystkich, opartą na głębszej i powszechniejszej niż tamte, doktrynie*.

Polak musi wiedzieć *w imię czego* wyrzeka się wszystkich dóbr materjalnych, oddaje swoje mienie, życie i siły twórcze, walczy i działa. Polak chce widzieć wielki jakiś, godny umiłowania i poświęcenia *cel zbiorowy*, PRAWDĘ, której ma służyć.

WROŃSKIZM, to uniwersalna doktryna filozoficzna i moralno-polityczna, równie potężna w sferze teorji, jak twórcza w sferze praktyki, uzbrojona w metody nawskroś nowoczesne i wyznaczająca plan historyczny, którego realizacja uczyniłaby naród polski pierwszym w Europie. Doktryna ta przynosi najwyższą i najbardziej wszechstronną prawdę naszych czasów, a przytem zgodna jest z duchem dziejów i z charakterem narodowym Polski.

Od lat nawołujemy, by uczyniono tę doktrynę kamieniem węgielnym polskiej racji stanu. Od lat piszemy i mówimy, że czas na zmartwychwstanie *ducha* odrodzonej Polski, gdy *ciało* już jest w postaci wolnej państwowości przysposobione, że czas na budowę nowej, dynamicznej, twórczej kultury, realizującej wszystkie wielkie myśli i kreacje duchowe, jakie stworzył genjusz narodu, w dziełach Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego, Brzozowskiego, Wyspiańskiego, Norwida...

Wszyscy czytelnicy Zetu znają naczelną tezę naszych artykułów: zbliża się wielka, rozstrzygająca faza dziejów Polski, moment strasznego „albo-albo". Opatrzność dziejowa umieściła nas wpośrodku Europy, między Zachodem a Wschodem poto, byśmy zrozumieli i dopełnili swe posłannictwo, *byśmy stworzyli Polskę taką, jakiej domaga się od nas Bóg i historja*. Przygotowujmy się ze wszech sił do tej roli. [1]

Przysłowie mówi: „Mądry Polak po szkodzie". Może dlatego współczesna „elita" polityczna i intelektualna Polski zlekceważyła nasz rozpaczliwy apel. „Mądry Polak po szkodzie", to znaczy: „Polak przed szkodą... głupi". I rzeczywiście owa „elita" narodu (wszystko jedno z jakich kół, „sanacyjnych" czy opozycyjnych) dała dowód głupoty i ślepoty niebywałej, przez szereg lat nie rozumiejąc czy może rozmyślnie *nie chcąc rozumieć* o co gra się toczy. Chochoł na skrzypeczkach przygrywał a oni kręcili się w kółko. Jeśli były jakie odruchy, to tylko inwektywy, obelgi, szyderstwa. Tłumaczono nam, że się mylimy, że niema czego się obawiać, że Polska niema nic absolutnie do zrobienia w Europie, że posłannictwo to bujda, idea—frazes, a doktryna: apage satanas! Wołano, że nie było nigdy polskiej filozofji, że Hoene, Wroński, Wyspiański, to rzeczy przebrzmiałe, które czas złożyć do lamusa historji. Gdyśmy wołali o odrodzenie moralne, oni przyznawali deprawatorom nagrody i fotele dygnitarskie, gdyśmy wołali o trud myśli i dyscyplinę intelektualną, oni narzekali, że piszemy ciężko i niezrozumiale: Filozofów „mamy już po dziurki w nosie" (Hulka-Laskowski), a Zet to „kiwanie palcem w bucie" (Słonimski).

Dowodzi to otchłannej głupoty tego towarzystwa wzajemnej adoracji, rozsiadłego po synekurach biurokratycznych, w fotelach dostojeństw literackich i przy biurkach redakcyjnych. Ale to nie wszystko. Czy wolno ich rozgrzeszyć tem pobłażliwem słówkiem: „głupi"?

Zawiniły czynniki rządzące, bo nie przewidziały niczego i zamiast budzić społeczeństwo na wielki moment odpowiedzialności historycznej, wtrącały go w inercję i tchórzliwy impas duchowy. Zawiniły władze i instytucje przodownicze naszego życia kulturalnego, bo zamiast dopomóc akcji „Zetu", ignorowały ją lub hamowały, popierając sprytnych bussinesmenów literackich, i ośmieszając kulturę polską poronionemi wyczynami (wawrzyny i fotele P.A.L., dyktatura Kadena, T.K. K.T. i t. d.). Zawiniła prasa, która przez długie lata perfidnie nas przemilczała.

Zawiniła „sanacja", bo mając decydujący głos w kraju, nie czyniła nic, by wielki ruch ideowy rozbudzić, przeciwnie, szerzyła w społeczeństwie pogardę dla „myśli oderwanej" i „doktryny", a zatajała prawdę o złem położeniu gospodarczem i o grożących kataklizmach politycznych. Zawinili „narodowcy", bo zatykali uszy na zew Polski-Idei, ogłupiając młodzież trywjalnem hasłem: „bić żydów!" Zawiniły koła radykalno-lewicowe, trując społeczeństwo ideologją bolszewickiego Wschodu. Zawiniła więcej od innych masońska klika, czy to sanacyjna, czy opozycyjna, główne źródło naszej degryngolady umysłowej i deprawacji etycznej. To samo odnosi się oczywiście i do monopolistycznej przez tyle lat mafji literacko-publicystycznej, zaogniskowanej w „Wiadomościach Literackich". Sfery katolicko-klerykalne zawiniły również swoim oportunizmem i zacofaniem.

Wy wszyscy jesteście winni i jeśli macie odwagę temu zaprzeczyć, to odeprzyjcie uczciwie i rzeczowo nasze zarzuty, a jeśli rozumiecie swój błąd, to milczcie, i „nie wierzgajcie przeciwko ościeniowi", bo *my wiemy, jaką ma być Polska*, a wy nie wiecie nic.

Niełatwo będzie teraz odrobić te szkody i spustoszenia moralne. Rząd dostrzega już skutki rozkładu ideowego społeczeństwa, i z trybuny sejmowej grozi represjami elementom komunistycznym i radykalnonarodowym. Lecz czy on sam nie stworzył katastrofalnej dwutorowości, jedną ręką subsydjując „Legjon Młodych" i wydawnictwa komunizujące, a drugą wsadzając do Berezy wyhodowanych w takim systemie „poputczyków" czerwonej Moskwy? I czy on sam nie popchnął pośrednio młodzieży akademickiej do ekscesów antysemickich, skoro młodzież ta, pozbawiona możności pracy i ubezwładniona politycznie, widzi zło rozlewające się wszędzie, a nie widzi dróg do jego usunięcia? Czyż nie zmuszono jej w ten sposób do szukania naturalnego ujścia energji w barbarzyńskich ekscesach? [2]

Nie daliście tej młodzieży idei i oto są następstwa. Pałkami gumowemi nie da się zaszczepić w młodych duszach ideałów państwowotwórczych. Zresztą państwo, przy całej jego doniosłości jako zadania zbiorowego obywateli, będzie zawsze pojęciem martwem, póki nie wypełni go żywa, konkretna treść, której na imię: Polska, czyli dynamizm posłannictwa historycznego narodu.

Chcecie społeczeństwo poderwać do wielkiego wysiłku, lecz tak je przedtem wypatroszono z entuzjazmu, że żaden zastrzyk sztuczny nie potrafi zgalwanizować tych osowiałych trupów. Chcecie tchnąć w Polskę zapał bojowy, a przecież ta młodzież, to czytelnicy „Życia ułatwionego", te dziewczęta to adeptki „świadomego przerywania ciąży". Niedarmo pracował na tym terenie przez kilka lat boyszewizm. Dziś mamy po wsiach masowe fabryki „świadomego macierzyństwa", połowa rekrutów odpada przy poborze spowodu charłactwa i chorób wenerycznych.

Wśród młodzieży szkolnej rośnie przestępczość, hamulce moralne nie istnieją, są w Warszawie całe zastępy studentów gimnazjalnych-zawodowych homoseksualistów, wynajmujących się za pieniądze, nieraz wysoko postawionym osobistościom. Tak oto wyglądamy. Słusznie też Boy, w uznaniu zasług dla kraju, został uhonorowany nagrodą m. Warszawy (szkoda, że nie udekorowało go ministerstwo spraw wojskowych) i fotelem P. A. L. spadkobierczyni tradycji Mickiewiczów i Słowackich". Tfu, z takimi spadkobiercami.

I to ma być Polska Mickiewiczów i Słowackich, Polska olbrzymów ducha, Norwidów i Krasińskich, którzy widzieli ją — w natchnieniu twórczem — na czele Europy, jako założycielkę nowej ery historycznej. To ma być Polska Trentowskiego i Brzozowskiego, inspiratora heroizmu moralnego i intelektualnego, Polska Wyspiańskiego, który hymn napisany dla niej i wręczony Piłsudskiemu, zaczął od słów wspaniałych: „Zstąp Gołębica, Twórczy Duch!" To ma być Polska Hoene-Wrońskiego, największego genjusza ery nowożytnej, który sam jeden mógłby zapłodnić ją ideją i doktryną tak potężną, że wobec niej komunizm i hitleryzm w drzazgi się rozlecą. Jeśli tak dalej pójdzie, to lepiej wstrzymać owe miljonowe składki na pomniki Marsz. Piłsudskiego, bo dzieło niepodległości zostanie w idącym kataklizmie sromotnie zaprzepaszczone i Polska, wraz z temi pomnikami, zapadnie się w grób powtórnej niewoli, pod but rasizmu, czy pod knut bolszewickich zbirów.

Gdy do tego szła Polska, naskutek ślepoty swej „elity" przodowniczej, w tym samym czasie „Zet", napadany i wyszydzany zewsząd, bez pomocy i bez subsydjów, kosztem nieopisanego wysiłku materjalnego i umysłowego, szedł konsekwentnie naprzód, dźwigając systematycznie wielki gmach Polski-Idei, i rozszerzając go w duszach ludzkich. Odrazu w pierwszym numerze, w artykule „Dlaczego?" nakreślony został całokształt zadań, ogarniający wszystkie zasadnicze problemy życia współczesnego i zapowiadający ich kolejne rozwiązywanie. Podjęliśmy walkę o renesans myśli polskiej, o miejsce filozofji polskiej, (a szczególnie doktryny Hoene-Wrońskiego) w ogólnej historji filozofji, gdzie dotąd genjusz twórczy Polski świecił nieobecnością. Stworzyliśmy czujny instrument cenzury narodowej, piętnując wszystkie objawy rozkładu i elementy szkodliwe. Wypowiedzieliśmy wojnę okupacji duchowej Polski przez klikę pasorzytniczą „Wiadomości Literackich", monopolizującą sromotnie naszą kulturę i zakłamującą właściwe jej oblicze. Ostrzegaliśmy bezustannie przed zgrają „poputczyków" bolszewickiego Wschodu z jednej strony, a przed rodzimemi plagjatami germańskiego rasizmu z drugiej strony. Serją artykułów likwidowaliśmy w opinji publicznej Boya i jego reformę seksualną. Wykazaliśmy absurd biurokratycznej „reformy kulturalnej" typu Jędrzejewicz-Kaden.

Były to oczywiście epizody właściwej naszej działalności, która zmierzała do uświadomienia Polsce jej przeznaczeń dziejowych między Zachodem i Wchodem i do stworzenia uniwersalnego planu przebudowy kultury współczesnej, w Polsce i w Europie. Idea człowieka twórczego, oparta na fundamentalnym kanonie doktryny Wrońskiego: zasadzie *samostworzenia się człowieka i ludzkości przez samorzutny wysiłek rozumu*, została przez nas wysunięta, jako typ normatywny tej nowej epoki i kultury. Sformułowaliśmy jasno ten dylemat: albo Polska wysunie własny plan konstrukcji pokoju światowego, ugruntowany na zasadzie absolutnej i niewzruszalnej, i podejmie wielką inicjatywę moralno-polityczną w Europie, — albo nastąpi niechybny wybuch wojny światowej, w której Polska zostanie zniszczona.

W Polsce drzemią olbrzymie złoża energji duchowej, zdolność do czynu, przekraczającego niepomiernie wszystko, czego dokonały Sowiety, Niemcy, Włochy współczesne. Od Polski może się zacząć nowa epoka historji. Trzeba tylko, by Słowo polskiej myśli twórczej stało się ciałem w aktualnej rzeczywistości polskiej. Trzeba, by plan uniwersalny Polski-Idei zetknął się bezpośrednio z masami narodu, na wszystkich szczeblach jego hierarchji społecznej, wywołując potężny zryw energji zbiorowej.

---

[1]) Patrz artykuły: „Jedyna droga", „Zgalwanizować trupy". „O polski system pokoju", „O centrum równowagi politycznej", „Zmierzch idei niepodległościowej", „Dramat w czterech aktach", „Mocarstwowość a posłannictwo", „Niemcy a Polska", „Wyścig śmiertelny", „Narodowcy a rewolucja duchowa", „Alarm w Tebach", „Polska... nad Europą", „Polski plan organizacji Europy", i wiele innych.

[2]) Ostatnio wytworzona sytuacja na uczelniach jest jednym wielkim nonsensem z państwowego punktu widzenia. Za ekscesy trzeba ukarać winnych, ale zamykając tysiącom dostęp do nauki, wyrządza się szkody samemu państwu, którego siła i kultura jest funkcją wiedzy. Uniwersytety nie są przedsiębiorstwami zarobkowemi. Cóż za absurd zamykać je dlatego, że studenci nie mają na czesne. Koszt kliku bankietów na cześć odchodzących i przychodzących ministrów wystarczyłby na pokrycie luki budżetowej, wynikłej z żądanej przez młodzież obniżki opłat.

O niektórych złudzeniach Rudolfa Carnapa (2)

Carnap uznaje wprawdzie, że tak zwane wzuwanie ma pewną wartość teoretyczną w nauce, ale twierdzi, że ono nie jest przy badaniu naukowem koniecznie potrzebne. Co się tyczy zaś nauk historycznych, to uznaje on wprawdzie, że „wczuwanie" tutaj jest wprawdzie nieraz nieodzowne, ale — zdaniem jego — historja nie jest nauką, tylko działalnością praktyczną (praktische Tätigkeit). Służy ona bowiem jego zdaniem — jedynie do wzbogacenia życia.

Takie są w głównych zarysach przedstawione zapatrywania Carnapa. Wynika z nich, że zdaniem tego autora wiedza powinna tylko dotyczyć tych faktów, które dają się przedstawić doświadczalnie, doświadczenie zaś pojmuje Carnap jako możliwość sprowadzenia wszystkich zjawisk do teraźniejszych lub też przeszłych moich przeżyć (Erlebnisse).

Ponieważ zatem pytanie, czy świat rzeczywiście niezależnie od nas istnieje, oraz pytanie, czy inni ludzie mają rzeczywiście świadomość, leżą poza granicami w ten sposób pojętego doświadczenia, gdyż doświadczalnie sprawdzić ich nie możemy, przeto pytania te zdaniem Carnapa nie mają żadnego naukowego sensu.

II.

Zapatrywania Carnapa nie są w tym względzie odosobnione. Pokrewne pod wielu względami są mu myśli Waltera Dubislava, wypowiedziane w jego książce o definicji, w końcowym jej rozdziale. Dubislav twierdzi, że wszystkie wypowiedzi, „o ile one nie są zdaniami bezsensownemi — muszą się dać zredukować do tego, co jest dane, co się da poprostu skonstatować. Te pewne dane, związane są w ramach każdej teorji z pewnemi znakami, a zadaniem nauki jest sprowadzenie wszystkich zjawisk do tych danych podstawowych, z których, zapomocą logiczno-matematycznych przeobrażeń, możemy następnie wyprowadzić wszystkie dalsze wypowiedzi. Dubislav kończy swe wywody zdaniem, że „Rzeczy same w sobie", jako zasadniczo nie dające się zaobserwować podścieliska świata, będącego przedmiotem naszego doświadczenia, są chimerami.

Rudolfa Carnapa można uznać za jednego z najbardziej ścisłych i rzetelnych przedstawicieli współczesnego pozytywizmu, tak zwanej „szkoły wiedeńskiej", zgrupowanej koło czasopisma „Erkenntnis". Niema w nim takich niekonsekwencyj myślowych, jakie spotykamy np. w pięknych i sugestywnych dziełach Maurycego Schlicka, który chociaż zwolennik pozytywizmu, opowiada się stanowczo przeciwko immanencji świata, uważając, że świat ma pewien rzeczywisty byt poza nami. Rudolf Carnap konsekwentniejszy w tem dużo od Schlicka, wypowiada radykalną zasadę, że pytania dotyczące rzeczywistego bytu świata poza nami tak samo, jak pytania odnoszące się do istnienia świadomości innych ludzi, pozbawione są sensu. Ze stanowiska ściśle pozytywistycznego, należy mu przyznać słuszność. Jeżeli bowiem, jak tego dowodzą Carnap i Dubislav, zadaniem poznania jest sprowadzenie wszystkiego do wrażeń (przeżyć — Erlebnisse), których się doznaje, względnie których się doznawało, to nie można twierdzić, że świat istnieje rzeczywiście, poza nami, niezależnie od nas, gdyż twierdząc tak, przypisujemy mu istnienie niezależne od naszych wrażeń i przeżyć i nie dające się do nich sprowadzić.

W tem miejscu warto jeszcze raz przytoczyć niektóre określenia i definicje Carnapa, odznaczające się wielką jasnością. Według definicji tego autora, jeżeli pewne wypowiedzenie P wypowiada treść pewnego przeżycia E, a wypowiedzenie q jest albo równe P, albo też da się wyprowadzić z P i z naszych wiadomości doświadczalnych zapomocą dedukcyj czy też wniosków indukcyjnych, znaczy to, że wypowiedzenie q jest *oparte* (fundiert) na przeżyciu E. Wypowiedzenie P dalej jest wtedy s p r a w d z a l n e (nachprüfbar), jeżeli można p o d a ć warunki, w razie zaistnienia których mogłoby zaistnieć E (przeżycie), na którem P albo przeciwieństwo P mogłoby być oparte. Wypowiedzenie P nazywa Carnap wtedy r z e c z o w e m (sachhaltig), jeżeli conajmniej można p o m y ś l e ć przeżycia i podać ich właściwości, na których P, względnie przeciwieństwo P mogłoby być oparte. Jak wynika z powyższych wywodów, wypowiedzenie sprawdzalne musi temsamem być rzeczowem. Odwrotnie jednak nierzadko rzeczowe wypowiedzenie jest sprawdzalne. Jeżeli bowiem jakieś wypowiedzenie oparte jest jedynie na przeszłych przeżyciach, to zdaniem Carnapa jest ono wprawdzie rzeczowe (sachhaltig), ale nie jest sprawdzalne (nicht nachprüfbar). W naukach historycznych, w geografji mamy dużo wypowiedzeń, które chociaż nie są sprawdzalne, są jednak rzeczowe. Wypowiedzenia zaś, które nie są ani sprawdzalne ani rzeczowe, są pozbawione, zdaniem Carnapa, sensu i niemi nauka nie ma się zajmować. Zdaniem Carnapa wszystkie nauki zajmują się jedynie wypowiedzeniami rzeczowemi. Jedynie tylko nauki filozoficzne zajmują się b. często wypowiedzeniami bezsensownemi, a za typowe bezsensowne zagadnienie filozoficzne uważa Carnap właśnie spór pomiędzy realistami a idealistami.

Carnap rozróżnia dalej dwa rodzaje wyobrażeń: wyobrażenia, zawierające rzeczową treść (Sachverhaltsvorstellungen) i wyobrażenia przedmiotowe (Gegenstandsvorstellungen). Wyobrażenia, zawierające rzeczową treść są takie, które mają za swoją treść to, co w ten, czy inny sposób istnieje, lub też nie istnieje, co może być potwierdzone lub zaprzeczone. Wyobrażenia przedmiotowe mają pewną treść nieoznaczoną, na którą składa się to wszystko, co my wyobrażamy sobie przypadkowo, gdy wypowiadamy jakieś zdanie. Dla tego wyobrażenia te pod względem teoretycznym są bez znaczenia, chociaż praktycznie mogą posiadać znaczną doniosłość. Jeżeli mówię np. że dana osoba znajduje się w pewnem oznaczonem miejscu, to zdanie to wyraża wyobrażenie, mające treść rzeczową, która może być potwierdzoną lub zaprzeczoną.

Natomiast wyobrażenia, które towarzyszą tej mej wypowiedzi (więc wyobrażenia danej osoby, bez należytego umiejscowienia ich w czasie lub przestrzeni) będą jedynie wyobrażeniami przedmiotu. Wyobrażeniami przedmiotu będą np. również wyobrażenia tarczy zegarowej, które mam przypadkowo przy wypowiadaniu zdania $2+2=4$. Podobnie również i figury w geometrji. Rozumie się, że podobne wyobrażenia mają doniosłą wartość o tyle, że ułatwiają nam nauczenie się pewnych twierdzeń geometrycznych. Wartości poznawczej jednak nie mają.

Co do wszystkich wyobrażeń przedmiotu niemożliwem jest — zdaniem Carnapa — wypowiedzenie zdania, czy to przeczącego, czy też twierdzącego. Mogą one stać się przedmiotem sztuki, religji, mitu, ale z nauką i poznaniem nie mają nic wspólnego.

Nie ulega wątpliwości, że Carnap jest jednym z najbardziej ściśle i rzeczowo myślących pisarzy. Jak wyżej zaznaczono niema u niego wielu skoków myślowych, które spotyka się u innych myślicieli jego obozu. Niemniej jednak spotykamy u niego wielkie nieścisłości i niekonsekwencje, które świadczą, że logika matematyczna w naukach filozoficznych nie może uchodzić za niezawodną szkołę ścisłości myślenia. — Błędność rozumowania Carnapa polega przedewszystkiem na zupełnie dowolnem i ciasnem ujęciu przez niego definicji doświadczenia, sprawdzalności, rzeczowości, wyobrażeń rzeczowych i przedmiotowych oraz na nieuzasadnionem zupełnie rozdzieleniu poznania od działalności. Rozdziału tego nie da się w praktyce przeprowadzić, tak, że go sam autor wbrew swoim zapewnieniom również nie przestrzega.

Autor jak wskazaliśmy twierdzi, że każda wypowiedź musi być oparta na przeżyciu. Przez przeżycie zaś pojmuje on jedynie pewne określone ściśle swoje własne przeżycie. Autor zatem cały system poznania sprowadza do przedmiotów własnej psychiki (eigenpsychische Gegenstände), a zatem do własnego ja.

(C. d. n.) *A. Stawarski.*

Jeszcze jedna odpowiedź St. Kisielewskiemu

Bodajby wszystkie polemiki odbywały się z taką łatwością, jak moja z p. Kisielewskim, gdyż w rezultacie dochodzimy do wniosku, że twierdzimy to samo. Sprawdzić to może p. Kisielewski porównując swoją „Odpowiedź na odpowiedź", z moim artykułem „Czy atonalizm jest naprawdę atonalny", który ma się ukazać w I (IX) zeszycie „Muzyki Polskiej", a który został napisany jeszcze przed moją pierwszą odpowiedzią p. Kisielewskiemu w „Zecie". Polemika nasza doprowadziła do uzgodnienia i równoczesnego sprecyzowania poglądów jak też do odrzucenia momentów, które w pierwszym artykule Kisielewskiego wystąpiły jako drażniące i nieuzasadnione (np. twierdzenie o tem, że kompozytorzy współcześni w twórczości swojej kierują się przedewszystkiem chęcią wymyślenia czegoś nowego i epatującego). Słowa niniejsze piszę tylko poto, ażeby sprecyzować i moje stanowisko i tem samem poruszyć tych kilka ubocznych zresztą spraw, w których się jeszcze z p. Kisielewskim nie zgadzam.

Wygodniej będzie mi zacząć właśnie od takiej sprawy ubocznej. P. Kisielewski pisze, że droga wyjścia dla młodych kompozytorów, którą proponuję i która polega na budowaniu ze starych elementów nowych własnych systemów wrażeniowych, „...ma w sobie coś schyłkowego. Jakże daleko jej do uczciwej postawy dawnych mistrzów, tworzących w uniwersalnym języku, lub do postawy wielkich nowatorów, odkrywających nowe, nieznane dotąd środki". Otóż nie rozumiem poprostu, co w tej postawie jest schyłkowego, i czem ona różni się zarówno od postawy dawnych mistrzów jak też od postawy wielkich nowatorów. Nie wiem kogo ma na myśli p. Kisielewski myśląc o nowatorach, sam przecież twierdzi (i ja się z tem zgadzam), że prawdziwego przewrotu nie może dokonać jeden człowiek, tak samo nie możemy wskazać na człowieka, któryby odrazu przeszedł od średniowiecznego linearyzmu do pionowego i dur-mollowego typu muzyki. Wszyscy więc najwięksi nowatorzy muzyczni w gruncie rzeczy dokonywali małych „przewrocików", co wystarczyło, aby nie byli zrozumiali dla większości współczesnych; czyż jednak takie „przewrociki", takie nowe ustosunkowywanie starych stosunków nie jest właśnie postępowaniem, które p. Kisielewski uważa za schyłkowe? O ile chodzi o uniwersalny język, w którym tworzyli dawni mistrzowie, to sam p. Kisielewski dobrze wie, że to nam z odległości wydaje się, że ten język był uniwersalny, ale że tak naprawdę, — to „dur-mollowy" Beethoven niemniej się różnił od „dur-mollowego" Haydna, jak np. Skriabin od Czajkowskiego,[1]) toteż dla mnie właśnie ci dawni mistrzowie byli niemal wszyscy nowatorami — a więc niemal wszyscy robili to samo, co zalecam dzisiejszym kompozytorom.

Muszę tu sprecyzować jak rozumiem owo tworzenie nowych rzeczy ze starego materjału oraz wogóle tworzenie *nowych praw,* muszę to sprecyzować tembardziej, iż w przeciwnym razie, zwłaszcza jeśli się porówna mój artykuł „Chyba nie upadek muzyki" z artykułem o „Atonalistach" — można będzie mnie posądzić o przeczenie samemu sobie. W pierwszym z wymienionych artykułów twierdzę, że wzrost autonomiczności w sztuce obecnej zmusza kompozytorów dzisiejszych do tworzenia własnych praw formotwórczych — w drugim zaś artykule usiłuję wykazać, że najbardziej radykalny kierunek współczesny zrywa z dawnemi prawami tylko w teorji, a w praktyce, o ile jest dobrą muzyką, znacznie bardziej z temi prawami jest związany, niż to myślą teoretycy tego kierunku. Otóż sprzeczność ta jest pozorna i wyraża dwa aspekty zjawiska, które określam w skrócie jako wytworzenie *nowych tonacyj. P.* Kisielewski twierdzi, że to jest niemożliwe i że tego w każdym razie muzyka współczesna jeszcze nie dokonała.

Cóż ja rozumiem jako nową tonację? Sądzę, że pewnych praw akustycznych albo psychicznych wogóle obalić nie może najradykalniejszy przewrót muzyczny. Nie możemy np. twierdzić, że forte to jest piano, albo że septyma ma mniejszą rozpiętość niż tercja. Takie prawa uważam za konieczne minimum wspólne każdemu systemowi dźwiękowemu i prócz wymienionych oczywistych faktów do tego minimum zaliczam także takie zjawiska, jak przez wszystkich i zawsze wyczuwana różnica między oktawą np. a sekundą, czyli poprostu między dysonansem a konsonansem[2]), oraz wzajemne ustosunkowanie dźwięków, czyli to co nazywam „tonacyjnością".[3]) Uważam afunkcyjność melodyki (o ile termin ten nie oznacza poprostu niestosowania się do tonacyj dur-moll) za fikcję teoretyczną. Szersze uzasadnienie tej tezy daję we wspomnianym artykule z „Muzyki Polskiej".

Z tego jednak, że nawet w najradykalniejszych typach muzyki współczesnej uznaję istnienie „tonacyjności", nie wynika, że ta muzyka oparta jest na tonacjach dur-moll, albo na systemie TDS. Zgadzam się z p. Kisielewskim, że bardzo wiele (ale jednak nie wszystkie) utworów pozornie atonalnych da się sprowadzić do systemu TDS, ale nie uważam, by takie „sprowadzanie" teoretyczne było najwłaściwszą analizą tych dzieł. Teoretykom „dwunastopółtonowym" zarzucam,[4]) że wprowadzając dla przejrzystości teoretycznej analizy równorzędność 12 półtonów, wmawiają, że równorzędność ta *faktycznie* istnieje w muzyce atonalnej. W tłomaczeniu jednak każdej muzyki przez system TDS widzę przeciwny „abusus" teoretyczny. Teoretycznie to jest również możliwe, ale czy tłomaczy wtedy nie dającą się zaprzeczyć istotną różnicę jakościową pomiędzy niektóremi utworami Strawińskiego, Szymanowskiego, Berga, Hindemitha, a najbardziej chromatycznym Regerem naprzykład. Chodzi mi więc o to, że stosunki funkcyjne, jakie między dźwiękami w tych utworach zachodzą, jeśli nawet *genetycznie* wyprowadzają się z systemu TDS jeśli nawet częściowo te dawne asocjacje zawierają, są już tak przekształcone, że tworzą nowy subtelniejszy i bardziej skomplikowany system, to co nazywam *nowemi tonacjami.* Może w tym systemie istnieć analogicznie do TDS układ współbrzmień, z których jedno jest szczególnie statyczne, inne jest z tem pierwszem jaknajsilniej związane dynamicznie, trzecie zaś jest wobec drugiego tem, czem drugie wobec pierwszego, — ale konstrukcja harmoniczna tych współbrzmień, ich odległości interwalowe będą inne i niekiedy wogóle nie dadzą się z TDS wyprowadzić,[5]) chociaż w działaniu częstokroć, jak to słusznie zauważył p. Kisielewski, polegają na operowaniu kontrastem do dawnych praw, a więc jednak w jakiś sposób z temi prawami są związane. Są jednak od nich niepomiernie bogatsze i to w tak dużym stopniu, że można mówić o przewrocie, chociaż w gruncie rzeczy jest to bardzo szybka i gwałtowna ewolucja.

Zwróciłem niedawno w ankiecie „Prosto z Mostu", żartobliwie oczywiście uwagę na analogje zachodzące między fizyką współczesną, a muzyką i na zabawne zbiegi czasowe: Newton jest współczesny Bachowi, Niels Bohr i Einstein (ich przełomowe prace w latach 1911, 1913) są współcześni Strawińskiemu i Schönbergowi („Pietruszka" 1911, „Sacre" 1913, „Drei Klavierstücke" Schönberga). Obecnie przychodzi mi na myśl analogja poważniejsza. Prawa nowej fizyki uważa się za całkowicie nowe, zmieniające niemal nasz sposób myślenia. Prawa te jednak nie obalają wcale praw klasycznych. Poprostu obejmują znacznie szersze dziedziny, wobec których prawa klasyczne stają się przypadkami szczególnemi, albo granicznemi. Widzę coś podobnego w stosunku między muzyką współczesną a dawną. Nowe tonacje nie obalają systemu dur-moll, albo TDS, ale są poprostu od niego niezrównanie bogatsze, zawierają ten system jako jeden ze składników i do niego w *przypadku granicznym* jako do jakiegoś bardzo sztywnego szkieletu niekiedy mogą być sprowadzone. Nie znaczy to jednak, by takie sprowadzanie zdawało nam sprawę z o wiele bogatszego, bardziej wielokierunkowego i wieloplanowego kompleksu muzyki współczesnej, który proponuję nazwać *„ultrapolitonalizmem"*.

Wiele jest jeszcze zagadnień, którebym miał ochotę poruszyć, chociażby sprawa pionowego i poziomego słuchania,[6]) ale w ten sposób nigdybyśmy naszej dyskusji nie skończyli. To też do przyszłej okazji.

Konstanty Régamey.

[1]) Mogę tu przytoczyć dosyć interesujący przykład. Znany muzykolog rosyjski, specjalista od Skriabina, L. Sabaniejew, opowiadał mi o swoich młodzieńczych latach, kiedy w Rosji dopiero zaznajamiano się z Wagnerem. Otóż on, wychowany na Czajkowskim, wspominał, że w owym czasie (później był entuzjastycznym wagnerzystą) absolutnym chaosem dźwiękowym, wogóle *nie muzyką* było dla niego już kilka pierwszych taktów „Wstępu" do „Tristana". Nam obecnie wydaje się to zupełnie niezrozumiałe, ja np. nie zdziwiłbym się, gdybym takie takty znalazł w jakiejkolwiek symfonji Czajkowskiego. Tam, gdzie my widzimy tylko różnice stylistyczne, współcześni widzieli *różne języki* muzyczne.

[2]) Nie chcąc przewlekać w nieskończoność naszej dyskusji, pomijam w tej odpowiedzi szereg zagadnień, które może zresztą przy okazji poruszę kiedyindziej. Taką kwestją jest zagadnienie dysonans-konsonans, w którem naogół zgadzam się z p. Kisielewskim. To znaczy uważam, że nierozróżnianie tych dwóch typów (statycznego i dynamicznego) współbrzmień możliwe jest tylko w absolutnie linearnej muzyce (czy taka jednak naprawdę istniała?). We wszystkich innych typach muzyki rozróżnienie to jest mniej lub więcej istotne. Nie obala tego fakt, że granica między konsonansem a dysonansem jest bardzo zmienna i płynna. Z tego, że niewiadomo gdzie się kończy piano a zaczyna forte, nie wynika, że jedno i drugie jest to samo.

[3]) Porównaj mój artykuł o „Harmonice Skriabina", który wkrótce ukaże się w „Zecie".

[4]) Patrz wspomniany artykuł w „Muzyce Polskiej".

[5]) Np. analogiczny do stosunku tonika-dominanta stosunek trytonowy w muzyce Skriabina, wynikający jednak genetycznie z zupełnie innych źródeł i niedający się do układu TD sprowadzić, chyba, że będziemy ten tryton uważać za chromatycznie obniżoną kwintę. Ale kiedy zaczynamy operować podwyższeniami i obniżeniami chromatycznemi, wtedy możemy wszystkiego dowieść.

[6]) Sądzę jednak, że czysty linearyzm, przynajmniej w słuchaniu, teraz nie zapanuje i nie będziemy mogli zupełnie wyeliminować nawet w najbardziej linearnej muzyce, asocjacyj homofonicznych.

Na marginesie dyskusji o muzyce

Artykuł pp. Kisielewskiego i Régamey'a w n-rach 15—16, 17 i 18 „Zetu" tak mię zainteresowały, że uczułam nieprzepartą chęć dorzucenia swoich trzech groszy, choć niecałkiem fachowych.

Na to, co mówi p. Kisielewski, pisałabym się, z wyjątkiem paru twierdzeń, a mianowicie:

„...Każdy rozwój, każdy postęp, jest zdążaniem do upadku". P. K. mówi, że to nie paradoks, a ja — że owszem. Rozwój i postęp jest zdążaniem do *szczytu,* a dopiero, gdy się ten szczyt osiągnie, zaczyna się dekadencja. Naturalnie, że życie w zarodku zawiera już śmierć, to każdy wie. Ale rozwijanie w powyższy sposób tego twierdzenia — to nihilizm. Zresztą, spekulując teoretycznie w ten sposób, możnaby równie dobrze powiedzieć, że nie istnieje śmierć, ani upadek, lecz istnieją tylko corazto nowe formy bytu, itd... Dość, że biorąc rzecz poprostu, póki szczyt nie jest osiągnięty, nie mówi się jeszcze o schodzeniu nadół.

Muzyka współczesna ma już szczyt poza sobą. Na to zgoda. Ale popierwsze, szczyty są mnogie, i po wzięciu jednego, można zdobywać inne, a powtóre — nie „stoimy przed murem", jak to twierdzi p. K., a raczej, jeżeli taki mur istnieje (bo co do tego mogą być różne zdania) to jednak nigdy nie można twierdzić, że się tego muru „przekroczyć nie potrafi", bo trudności nieprzemożonych niema; mogą one istnieć dla jednostki, lub dla jednego pokolenia, ale z biegiem czasu wszystko się przemoże, na tem polega życie.

„Pogoń za siłą i intensywnością środków w wyrazie przesyciła i zdeprawowała *raz nazawsze* współczesną wrażliwość". Znowu determinizm, krańcowość duszy młodej i wrażliwej, może nawet przewrażliwionej, która widzi wszystko w ekstremach. Już samo zestawienie słów: „raz nazawsze" i „współczesna" zawiera w sobie *contradictio in adjecto.* Skoro to się tyczy psychiki współczesnej, to nie jest raz nazawsze!

P. K. twierdzi, że to „ilościowe nastawienie ewolucji muzycznej... ugodziło w zasadę, jaka dotąd rządziła wrażliwością muzyczną, t.j. w prawo kontrastu", i że „odjęty jest współczesnej muzyce najważniejszy efekt, t.j. efekt kontrastu". Otóż bynajmniej nie widzę, dlaczegoby tak być miało. Czemu prosty konsonans użyty od czasu do czasu, nie miałby być takim samym, silniejszym nawet kontrastem, niż bywało dawniej użycie dysonansu? Przeciwnie, sądzę, że tak właśnie będzie.

Dalej — nie zgadzam się z twierdzeniem, że niemożliwością jest dla współczesnych powrót do języka Beethovena. Naturalnie, że nie w dosłownem znaczeniu, bo przecież nic się w życiu nie powtarza dosłownie. Ale natomiast, z pewnemi odmianami powtarza się zawsze wszystko, i to jest nawet jedno z zasadniczych praw istnienia.

A przytem, ta ewolucja środków muzycznych nie jest tak bardzo regularna. Są w niej skoki i to nawet znaczne. Ja np. nie miałam nigdy żadnej trudności w rozumieniu harmonij Wagnera, a zato u Chopina są harmonje dla mnie niezrozumiałe, lub przynajmniej bardzo trudne do zrozumienia. (Mówię tu oczywiście o „zrozumieniu" w znaczeniu analizy z odcyfrowaniem danych harmonij). Szczegółowe zaś studja przekonały mię, że daleko mniejszy jest odstęp między Chopinem a Szymanowskim, niż był między Chopinem, a bezpośrednimi jego poprzednikami, Hummlem i Fieldem.

Tyle z p. Kisielewskim.

P. Regamey powiada na początku swego artykułu, że „snobizująca publiczność wymaga od kompozytorów nowych i oryginalnych środków, co się odbija na wyjałowieniu treści". Sam jednakże potem dodaje w przypisie, że „fakty podobne istniały w muzyce zawsze", tylko teraz, „wobec szybszego tempa życia — wyolbrzymiały". Ja zaś dodam od siebie, że nawet i tego wyolbrzymienia tak dalece nie widzę, ponieważ, właśnie wobec przyśpieszenia tempa we wszystkich dziedzinach, proporcja jest mniej więcej ta sama. To samo tyczy się twierdzenia, że „właśnie w tej epoce wielu muzyków straciło właściwy, głęboki stosunek do sztuki, dążąc do zdobycia sławy", i wzmianki o „reklamiarzach, efekciarzach, muzycznych cyrkowcach i *businessemenach* w jednej osobie" — ponieważ zdaniem mojem, było zawsze tosamo, *toute proportion gardée.*

Dalej podaje p. R., jak mówi „radę starej cioci". żeby się nie silić na oryginalność, tylko starać się odnaleść *siebie,* jako twórczą jednostkę. Otóż, mimo że stanowczo mam więcej, niż p. R. kwalifikacyj na „starą ciocię", myślę jednak, że to nie jest tak proste. Bywają i bywały zawsze jednostki, nietylko w dziedzinie muzyki, ale na wszystkich polach twórczości, które, mając swoje *ja* niezaprzeczenie oryginalne i obdarzone dużemi możliwościami potencjalnemi — szły jednak po linji najmniejszego oporu, i na niej zatracały stopniowo swoją indywidualność twórczą. To jest jedno z największych niebezpieczeństw, które czyhały i czyhają zawsze na artystów, ponieważ niebezpieczeństwo to nie tkwi w ich twórczej zdolności, lecz w charakterze.

Wreszcie — tutaj już przestaję polemizować, tylko poprostu pytam się pokornie w poczuciu własnej niewiedzy (mówię to bez ironji):

P. R. powiada, że poza muzyką europejską XVI — XIX wieku z jej systemem *dur-moll,* istniała przecież i istnieje muzyka wschodnia, a ja dodam jeszcze, że i muzyka grecka. Otóż zapytuję (dlatego, że niewiem naprawdę), czy np. muzyka wschodnia współczesna lub dawniejsza wydała jakiekolwiek dzieła, któreby można bodaj w przybliżeniu postawić obok naszej muzyki symfonicznej i operowej XIX wieku, nie mówiąc już o dawniejszej?

Powtóre, (jestto pytanie, które stawiałam już ludziom parokrotnie, ale nigdy nie dano mi jasnej i wyczerpującej odpowiedzi) o ile mi wiadomo, harmonje konsonansowe i dysonansowe naturalne są bezwiednem zastosowaniem tego prawa przyrody, które stanowią t. zw. *alikwoty,* będące naturalną wibracją dźwięku. Pytam się tedy, czy można tak bezkarnie gwałcić to, co jest wieczne, to jest prawa przyrody, lekceważąc zupełnie to naturalne następstwo dźwięków?...

Na zakończenie jedna nieśmiała obserwacja. Wprawdzie pewien młody muzyk powiedział mi, że jestto zwykłą właściwością ludzi starszych, że nie mogą zrozumieć tego, co jest nowe — ja jednakże obstaję przy swojem. W mojem przekonaniu, muzyka stanowczo podległa ewolucji pod jednym względem: zatraciła melodję, jako taką. Zatraciła nawet poczucie melodji. Obecnie wszystkiem jest harmonja — brzmienie, to znaczy brzmienie w sensie zbiorowym. Obecna muzyka, że się tak wyrażę, operuje tylko bryłami, ale nie istnieje dla niej linja sama przez się, a linja, to jest właśnie melodja.

Może się mylę, ale tak mi się wydaje. O tem zresztą mówić możnaby bardzo wiele, i znacznie obszerniej. Na tem tedy kończę.

Al. Świd.

JERZY BRAUN

Perseusz i Andromeda

(Fragment z „Djalogów fikcyjnych")

Jak oko znienacka przebudzone i ledwie przetarte ze snu, jak niemowlę z ciemni matczynego łona wyłuskniete nagle na światłość dzienną, tak i Andromeda olsnęła w tem jutrzenkowem ocknięciu i nie wie zrazu, gdzie się znajduje. Rozkoszna kulista bania rozdmuchana w perłę przemglonego lazuru jest jak koncha ciepłej, wygrzanej muszli. Słoneczność dnia nie rani, bo przesnuta jest nawskroś obłokiem mgły, delikatniejszej od muślinu, niewidocznej dla oka, ale mimo to nadającej wszystkiemu nieziemski odcień popielato-srebrny, przechodzący nieznacznie w tęczowe, wilgotne opalizowanie.

Nerwy Andromedy wibrują śpiewnie jak ksylofony. Roześmiana, przeciąga się leniwie. Wstać i pójść. Nie, jeszcze chwila. Rzeźwy poranek ma smak świeżej źródlanej wody. Długiemi haustami pije Andromeda słonawy powiew morskiej fali, siedząc na złotawo-żółtym piasku z podwiniętemi w bok nogami, wsparta oburącz rękami odsuniętemi nieco wstecz i wyprężona kibicią w łagodny łuk, zakończony małą, kształtną, lekko odgiętą ku plecom głową, jakby nadstawiała dzbanuszek ust spadającym z nieba kroplom rosy.

Gdy tak znieruchomiała w malarskiej pozie Andromeda, bezdrzewne, skaliste pustkowie pęczniało od coraz intensywniej roziskrzonego blasku, a powłóczysty. jednostajny szum fal pieścił uszy powrotami klaszczących rozchlustów, jakby szklanne arpeggia rozbryzgiwały się pianami o dziką plażę.

Andromeda rozgląda się, jakby widziała ten pejzaż po raz pierwszy i mówi:

— Świat jest piękny.

Potem wstaje gibko jak tancerz, a raczej odskakuje od ziemi śmigle, jak metalowa sprężyna. Jej pląsający chód jest jak rusałcze igranie. Andromeda jest wesoła i każdy jej nerw tańczy. Bose stopy wyginają się w przegubach, gdy Andromeda stąpa na palcach, jak baletniczka. Jasno-zielona, długa, jedwabnie gładka tunika, przewiązana w pasie srebrnym sznurem, fałduje się miękko przy każdym ruchu jej ciała, Andromeda ma kształt wysokiej, smukłej, bardzo nieznacznie uwypuklonej w biodrach amfory, na podobieństwo tych, które pozostawiła nam w spadku kultura kreteńska.

Chłopięca zwięzłość tego ciała, spadzistość piersi zaledwie zarysowanych pod jedwabiem mówi nam, że Andromeda nie przestała jeszcze być dzieckiem. Oto stoi na wilgotnym piasku, pozostawiwszy za sobą długi trop małych odciśnięć ukazujących, którędy przeszła i bawi się, trącając stopą czoła fal, które nadbiegają z bełkotliwym pośpiechem i łaszą się do jej nóg, liżąc je przyjacielsko szklistemi językami.

Woda jest ciepła i Andromedzie przychodzi na myśl, że dobrze byłoby się ukąpać. Ale wzrok jej błądzący po szafirowem roztoczu napotkał widocznie coś bardzo interesującego, bo dłoń jej uczyniła daszek nad brwiami, chroniąc oczy od wytężonego rozblasku dali. Zaraz potem obydwie dłonie spotkały się przy ustach, zwinięte w trąbkę dla większej doniosłości okrzyku.

— Ho — hoop! Hej — ho! Perseuszu!

Jak okiem sięgnąć nie widać na powierzchni morza ani łódki, ani rąbka żagla. Skądże zatem ta kapryśna wywołuje swego towarzysza czy kochanka?

— Perseuszu-u-u!

Jako odpowiedź, potężny wytrysk wody wybucha fontanną z morza. Coś jakby łuska złotawa mignęło pomiędzy niskiemi grzbietami pian. Do uszu Andromedy dobiega radosne, gulgotliwe parskanie, jakby dziki zaśpiew kąpiącego się delfina. A teraz dwa niezmiernej długości wąsy bruzd wodnych poczęły zbliżać się szybko, jak ślady prującej nurt tuż pod powierzchnią łodzi podwodnej.

Andromeda wpatrywała się spokojnie w to niesamowite widowisko, zaplatając tylko pospiesznie i zwinnie rozkręcony warkocz, przerzucony przez ramię na piersi. Pogwizdywała przytem, jak ptak leśny i podśpiewywała beztrosko cichym, syrenim sopranem, przechodząc bez wysiłku w partje koloraturowe, lecące z jej ust deszczem kulistych kryształków.

— Perseuszu, nie nurkuj!

Ledwie zdążyła zawołać te słowa, gdy topiel skłębiła się groźnie tuż obok i wspaniały, mięsisty ogon, o barwie soczyście pomarańczowej, zdobnej w pawie oka plam zielonych, niebieskich i złotych, wychynął błyskawicznie w górę i począł tłuc fale po łbach. Ulewny deszcz opryskał Andromedę. Nawpół gniewna, a nawpół roześmiana uciekała ku skałom. Skokami jak kozica wydostała się na czerwonawy, bazaltowy cypel, połyskujący w słońcu srebrnemi blaszkami mikowca.

A on, Perseusz, począł gramolić się z wody z ociężałą, lecz nie pozbawioną wdzięku powolnością. Jego płaski łeb, opancerzony na ciemieniu, z wprawionemi w czoło złocistemi karbunkułami źrenic niósł się chwiejnie i jakby dostojnie nad pagórowatem, wygiętem w pałąk cielskiem. Różowy grzebień, o aksamitnym kolorze dziąseł hipopotamich podobny był do zębatego, chińskiego muru, nabudowanego na wzgórzu. Przednie łapy zaparły się mocno w piasek, podciągając nieco zbyt opasły tułów, płomieniejący czerwonem podbrzuszem. Wspaniały jaszczur parskał i otrząsał się z rozkosznem drżeniem, a woda strumieniami ściekała z jego wypukłych, grających mięśniami boków. Wynurzył się już cały i szedł chybotliwie po złotej plaży, a jeszcze ogon pozostawał we fali, wlokąc się za nim jak drogocenny tren królowej. Jego pawi przepych ćmił oczy.

Perseusz wydał powitalny ryk, wpatrując się w Andromedę miłośnie, jarzącemi, choć przygasłemi w śreżodze dookolnego słońca, latarniami źrenic.

— Gdzie byłeś? — brzmiał głos Andromedy.

— Tylko na Lagunie Tajemnicy.

Ruchomy dom pancerny zbliżał się jak walec ławy i wczołgiwał się przedniemi łapami na skałę, podsuwając pokornie łeb pod aksamit dziewczęcych dotknięć. Andromeda trzepnęła go po nozdrzach warkoczem.

Laguna Tajemnicy leżała na zachód stąd, w dość odległym punkcie wybrzeża. Perseusz pielgrzymował tam często przed świtem, żeglując przeciw prądowi i przecinając zygzakami łańcuchy krótkich fal. W myśl jego opowieści, tam właśnie znajdować się miała zaginiona Atlantyda, o której zresztą Perseusz mawiał niechętnie, z ponuremi błyskami w oczach.

— Perseuszu — uśmiechała się twarzyczka wyrzeźbiona w kamei. — Perseuszu, opowiedz...

Przymrużył długie, zielone rzęsy i jak rozpieszczone psisko przylgnął podgardlem do skały.

— Zaprawdę — przemówił z biblijną powagą zamierzchłego Matuzalema — było to miasto miast, ogród ogrodów, rozkosz rozkoszy. I tam umieli oddać mi cześć. Nie tak jak tu, gdzie trzeba się kryć po pieczarach, aby jaki świątobliwy rycerz nie dopadł znienacka i nie skłuł mi boków włócznią.

Andromeda przykucnęła na skale z oczyma szeroko roztworzonemi przez dziecinną ciekawość i spięła białe czoło w zmarszczkę zabawnie surowej powagi. Zasumowana, muskała bezwiednie nozdrza smoka koniuszkiem warkocza. Perseusz kichnął rozgłośnie, poczem rozwalił się zleniwiałem ciałem na stoku, wznosząc łeb ku niebu i układając się jak do siesty.

— Wyglądałem wtedy inaczej. Ciało moje było glistowato długie, pierścienne i śliskie. Mieszkałem na drzewach. Szczególnie upodobałem sobie jedno z nich, obwieszone jabłczanemi kulami, pęczniejącemi kwaśnym, w słodycz przeciekającym sokiem.

— Byłeś wężem?

— Tak, Andromedo, byłem wężem. Wtedy to zdarzył się ten wiekopomny wypadek, o którym wiesz coś niecoś z moich relacyj. Autor bardzo się gniewał. Wicher jego oddechu otrząsnął wszystkie jabłka, oliwki i śliwy. Niebo w łunach. Z pustyń naniosło gorącego piasku, kłującego mnóstwem igiełek. Błyskawic zlatywało zewsząd tyle, że zygzaki ich zaplątywały się w gałęzie, nawet we włosy aniołów.

— Cóż mówił?

— Wołał: I położę nieprzyjaźń pomiędzy tobą a niewiastą; ona zetrze głowę twoją.

Perseusz wzdrygnął się i skłoniwszy nieco łeb ku ziemi, począł wpatrywać się w Andromedę niespokojnym, nieufnym wzrokiem. Ona zauważyła to, zbudzona zimnem dotknięciem jego nozdrzy, trącających przypadkiem nagie ramię. Odklejona od tarczy cichego, okrągłego zamyślenia, uśmiechnęła się łagodnym, niewysłowionym grymasem, przez który przezierała niewiedzieć skąd nawiana nostalgja kosmiczna.

— Skądże ci przyszło do głowy, że to właśnie ja...

Kątem oczu dostrzegła gruboziarnistą, krwawą łzę na jego rzęsie. Zaplotła dłonie na zgiętem kolanie, opierając na niem brodę. Profil jej, zdjęty z rzeźby greckiej był teraz tak niewyrażalnie piękny, że Perseusz począł chwiać łuskowatą szyją i cmokać mięsistemi wargami. A potem zastygł osowiały.

— Smoki wiedzą to, o czem wam ludziom się nie śniło...

— Cóż wiedzą smoki...

— Smoki wcześniej od was oglądały Dzieło. Jeszcze wówczas, gdy Autor poprzestawał na Starem Prawie. Dzieło wystarczało mu, bo było dobre i piękne. Szumiały tam księżycowe morza, a lądy zaledwie zdołały wynurzyć się z wód, jak z rzeźwej, oszołamiającej kąpieli. Globus wybuchał olbrzymiemi pędami zieleni, w których tarzały się ciepłe, ryczące po nocach zwierzęta. Było puszyście i świeżo. Nie tak dawno jeszcze światło oddzieliło się od ciemności. Pierwsze jego ognisko rozłamało się na słońce i księżyc. Nieopisany był wtedy przepych gwiazd, któremi, jak fajerwerkami, Autor obsypał firmament. Pomysłowość Twórcy była, zda się, niewyczerpana.

— Cud, cud, — szeptała Andromeda, a nieziemski blask zachwycenia opromienił jej profil z kamei. Jakieś lekkie jak puch przypomnienie wsnuło się w jej myśli. Smok jakby czytał w niej, bo łypnął na nią niespokojnym wzrokiem.

— No, niema się znowu czem tak zachwycać. Od tego jest Twórcą, żeby kształtował Dzieło. A nie wszystko musiało mu się tam udać, skoro tu jestem ja, sam w sobie, najdumniejszy smok Perseusz. Ja, który oderwałem się i trwam i żyję, a na imię mi: Wieczność.

— Niezupełnie cię rozumiem — rzekła Andromeda. — Ty sam wyszedłeś z Dzieła, a Dzieło jest w Twórcy, który nim włada. A on jest wolny.

Perseusz spochmurniał i począł się prężyć. Niebezpieczne, nerwowe drgawki przebiegały po jego ciele. Z oddali głuchy szum wód zdawał się mu grać pod wtór i umuzyczniać uroczyście jego ryk królewski.

— Dzieło nie jest w Twórcy. Dzieło jest poza nim. Dzieło ożyło przeciwko Twórcy i walczy. I jest tu w dole, gdy On musiał pozostać tam, w zenicie. Zaś wewnątrz, w rdzeniu Dzieła zamieszkuję teraz ja, Konieczność.

— Perseuszu, co tobie — przestraszyła się Andromeda.— Jesteś dzisiaj zupełnie inny.

— Od kiedym powstał z prochu ziemi, byłem zawsze Ten Inny. A odkąd wylądowałem na Lagunie Tajemnicy, przebrnąwszy przez topiel wód, nie zazna nikt tej wiedzy, która jest we mnie. Bo w mojej wypłukanej przez czas pieczarze ukryłem zagadkę starego, zatopionego Dzieła, największą, największą Tajemnicę.

Gwiazdowa, srebrem mżąca zaduma nasączała zwolna wpatrzone znów w jeden punkt oczy dzieweczki, nieświadomej miłośnicy smokowej.

— Więc On pozostał w zenicie, gdy my tu w dole.

Mówiła krótkiemi, rwanemi zdaniami, melodyjną prozą, która w jej ustach tak łatwo przebrzmiewała w mowę wiązaną.

— A któż jest On? Ty myślisz o słońcu? Ono przecież co wieczór opuszcza zenit. A rankiem...

— Słońce... Oh, to nie to. Ja nie o słońcu. Ja o Dziele...

Jego gardlany, przydechowy wygłos przechodził raz po raz w dziwaczne, jękliwe zaszlochy. Łkała w nich obca, niedocieczona, planetarnie odwieczna dola smoków.

— Nie wierzę — nagłym zrywem odrzuciła głowę wstecz Andromeda. — Nie wierzę, aby Twórca nie władał Dziełem. I nie wierzę, aby Dzieło mogło odejść i być poza nim, paść się samopas i walczyć... Musiałaby to być nienawiść, zdolna zdradzać tamtą miłość. Bo przecież Twórca kocha Dzieło.

— Kiedyś to zrozumiesz — wymruczał Perseusz przez zęby.

Kiedyś to zrozumiesz — powtórzył uroczysty rozklask fal, bijących o ławę wybrzeża. Andromeda spojrzała wdół na zbałwanioną, fiołkową toń, atakującą pochyłe bazalty z chóralnym wrzaskiem, podobnym do klangoru niezliczonych hord ptasich. Kołys wciąż się wzmagał. Regularność zmydlonego, piennego napływu przywodziła na myśl odwieczną powtarzalność zjawisk. Od jedwabiście sfałdowanej dali nadciągał powiew o aromacie słonawo-słodkim, przypominającym woń muszli i zgniłych wodorostów.

— Musi mu bardzo ciężyć, musi go bardzo boleć to zbuntowane Dzieło — użaliła się Andromeda. — Było przecież tak piękne.

— Cięży — przytaknął smok. — Bo chociaż jest całe poza nim, uwięzgło mu jedną drzazgą w samem sercu. I ciągnie przez to w dół. Musi więc i on walczyć, musi kłuć ustawicznie i płatać, aby odrąbać je od siebie już nazawsze.

— I co wtedy? Samotność go zabije.

— On jest żyjący na wieki wieków. On nie umiera. Jest Twórcą. I stać go przecież na Nowe Dzieło.

Jego łuskowata szyja ociężałego megalosaura ustawiła się pionowo nad kadłubem, jak długi komin, a płaski, kolorowy łeb odgiął się poza plecy. Karbunkuły spojrzały wgłąb wyspy. Wzrok Andromedy poszedł za niemi powoli.

Przed chwilą mgła zamykała tutaj horyzont. Jak w wielkiej, wydmuchanej perle obudziła się wtedy Andromeda. Teraz zasłony opadały jedna po drugiej z ogromu posągowej nagości i wzniosłe piękno wyłaniało się. Szale muślinowych obłoków zwijały się i osuwały na ciemne kloce wzgórz. Inne pierzchały w górę, zmieniając co sekundę swe lotne konfiguracje. Jakiś zębaty kontur zamajaczał pod samą kopułą firmamentu. Obok wystrzeliła pionowo w zenit delikatnie narysowana linja, jak kresa sinego pastelu, przeciągnięta niechybnie pewną ręką arcymistrzów japońskich. Perspektywy odsuwały się majestatycznie i miarowo, wciąż wgłąb. Nad niebieskawą chmurą kłoniącą się omdlałym, niewieścim gestem na podnóże, zawisł naraz biały gryf ze złożonemi na piersiach skrzydłami. Jeszcze jedno uderzenie olśnionego serca Andromedy i gryf okazał się bramą, osadzoną u szczytu ogromnych, węższych u góry, rozszerzających się u dołu wschodów. Teraz już wybłyskiwały z magiczną chyżością śnieżne zjawy murów i blanków, baszt, geometrycznie spiętrzonych masywów, iglasto zakończonych wieżyc. Niżej amfiteatr skalistych perci i grzbietów, z prawej i lewej strony wspinających się aż pod najwyższe łańcuchy obmurowań, a pośrodku robiących miejsce dużej, wklęsłej kotlinie. Centralne schody rozłamywały się tutaj na dwie odnogi, opadające w głąb zapadliska dwoma kolistemi kaskadami marmuru.

Wyżej nad tem wszystkiem, ponad wielkiemi wschodami, nad blokowiskiem spiętrzonych ciosów, nad białym grodem ceglanych turni, kopuł i dachów, nad kulami złota i płaszczyznami miedzianej zieleni, rosło, wykwitało, gubiło się w strzępach chmur coś zjawiskowego, coś czego opis nie znajdzie słów w żadnym ludzkim języku. Jak sopel oślepiającej iglicy z lodu, jak djamentowy stalaktyt zwisający z nieba na ziemię, jak strumień kapiącego ze słońca roztopionego srebra, mieniło się to, promieniało, grało lustrzanym połyskiem w aureoli szmaragdowej otęczy.

Andromeda patrzała. Pierś jej wstrząsało łkanie. Przez kraty palców zapuszczonych na oślepione oczy, przez półprzymknięte powieki, przez tęczujące frendzle rzęs, w różowej poświacie prześwietlonych palców, chłonęła w siebie boski miraż Wieży, który jak kolec zabójczego piękna wbijał się nieubłaganie w jej serce.

Perseusz drżał nerwowo i kurczył jaszczurczy ogon. Światłość przygnębiała go, jak chore zwierzę. Odwrócił wzrok od Wieży i ział z paszczy gorący oddech, mlaskając koralowym jęzorem. Żar, który wzbudzał w nim zawsze ten obcy, jaskrawy widok, gasiło morze swą chłodną, upajającą zielenią.

— Mojem jest Genezar — zawył przeciągle. — Mojem jest Morze Form...

Pospiesznie, człapiąc pancernemi łapami, zczołgał się ku pozieleniałym bełtom. Pogrążył łeb w wodzie i pił chłepcząc.

MARJAN KUBICKI

Przyjacielowi wiersz wesoły

Stanisławowi Piętakowi

Jesteśmy białe gołębie
poszukujące chleba.

W połowie naszych „szczytów"
z czwartego piętra
bolą nas wspomnienia
tego, cośmy odeszli,
idąc zuchwale zwyciężać!

Wiatr październikową pluchą
przynosi na pamięć
dawno przebyte drogi...

Najdalej —
chałupa ojców w rodzinnej wsi
wskazuje węgłami w cztery strony świata.

Daremny powrót!

Koło drogi kwaśna radość... wierzba —
gałęzie dobre nisko, pomogą!
Koło drogi rozwalony gnój i dzieci
na rachitycznych nogach,
z oczami, w których dnieje chłopskie niebo.

To nic, to nic, że zdechniemy z głodu
na czwartem piętrze, podniebnie, wysoko.
Będą nam dobre wierzby śpiewały,
kołysankę zamuloną przez życie z tamtych lat.
„...je lulu, je lulu
uśnij ze mi uśnij
któz cie bedzie tuloł
kiedy cie śmierć uśpi — ?..."

Przyjacielu!
Na radość, na siwodniejącą nadzieję
idącym po nas zuchwale z chałup
młodym, po nowe życie.
Więc warto!

Większa jest radość z jednego nawróconego...

Mówi przypowieść biblijna, że większa jest radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika, niż z 99 sprawiedliwych. Trzy lata temu (w maju 1933 r.) napisałem w „Zecie", że za lat 10 nie będzie już w Polsce ani słychu o J. E. Skiwskim. Cofam dziś to twierdzenie. P. Skiwski atakował nas wówczas gwałtownie, zarzucając nam „przeraźliwe bujanie o duchu", „brak zmysłu rzeczywistości", „głoszenie ideowych bredni" i t. p.; wziął też przed nami w obronę Boya, trzeźwego wielbiciela „faktu", gdyż Boy jest „życiowy", a działalność Zetu to „robienie rzeczy niepotrzebnych". Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że po 3 latach p. Skiwski całkowicie „doszlusuje" do Zetu i stanie się apostołem tych samych prawd i haseł, które my od lat głosimy?

Zajrzyjmy do roczników Zetu z r. 1932 i 33 (zamierzchłe to już czasy w dzisiejszej epoce tempa i galopady politycznej), zadajmy sobie trud przeczytania kolejno szeregu zamieszczonych tam artykułów wstępnych. Znajdziemy tam wszędzie kardynalną tezę: Zbliżają się chwile przełomowe. Polska będzie wzięta w dwa ognie, znajdzie się między dwoma zbrojnemi blokami idej, które wypowiedzą sobie wojnę na śmierć i życie. Dwa te zaborcze programy nowych kultur, nowych mitów dziejowych zgniotą nas nieuchronnie, jeśli nie zdołamy wytworzyć własnej, potężniejszej idei, własnego ideału kulturotwórczego.

Cytujmy pobieżnie, wyrywając zdania na chybił trafił:

„Kraj nasz leży w centrum geograficznem Europy, w punkcie krzyżowania się dwu przeciwstawnych sobie światów ideowych"; pomiędzy niemi „Polska, wraz z ciążącemi ku niej ludami słowiańskiemi, bizantyjskiemi i bałtyckiemi stanowi dziś nową, potencjalną transzę sił dziejowych", „posiada ona niezrealizowane dotąd koncepcje historyczne i ideje, które dawniej przedwczesne, stają się aktualne w dobie współczesnej" (nr. 1, marzec 1932, art. „Dlaczego?").

„Pomiędzy Karpatami a ujściem Wisły może żyć albo olbrzym, albo niewolnik — innego wyjścia niema..." „Ciśnienie militarne, ekonomiczne i socjalne na zachodnie i wschodnie granice Polski jest tak wielkie, że grozi jej zmiażdżeniem bez ratunku, jeżeli nie przeciwstawi mu ona równoważnej siły..." „Proste obliczenie wskazuje, że Polska... wzmacniając się militarnie i gospodarczo, nigdy nie dojdzie do celu, bo w żadnej konstelacji nie będzie mogła dorównać siłom, które ją miażdżą..." „Trzeba sięgnąć do tego źródła, które wymyka się wszelkim rachubom statystycznym... Źródłem tem jest *człowiek...*" (nr. 9, sierpień 1932, art. „Jedyna droga").

„Szukać swej własnej prawdy dziejowej. *Znaleść siebie...* Aby to co nadchodzi, nie zaskoczyło nas we śnie..." (nr. 28, maj 1933, art. „Hitler zbawiciel").

„Polska dostanie się prędzej czy później w orbitę wpływów jednego lub drugiego bloku ideowego, a pod ciśnieniem obydwu będzie zmielona na miazgę, stając się materjałem budowlanym pod przyszłą, marksowską lub hitlerowską Europę. Stanie się to napewno, o ile... nie wysunie ona własnej, samodzielnej koncepcji, zdolnej powstrzymać pochód tamtych i pójść zwycięsko naprzód" (nr. 29, czerwiec 1933, „Gra o sentymenty").

„Żyjemy w epoce, w której *myśl-idea* jest czynnikiem rozstrzygającym, bronią najbardziej niezawodną. Jutro zwyciężą nie bagnety i nie waluty — lecz mózgi" (nr. 30, czerwiec 1933, „Celownik do pionu").

„Wówczas wrogie potęgi zderzą się, albo poprzez Polskę, albo mimo niej, albo wreszcie mając ją (któraś z dwu), po swojej stronie. W pierwszym wypadku będzie to zgwałceniem neutralnosci Polski i wojną na jej terytorjum, ewentualnie wojną obronną Polski na dwa fronty. W trzecim wypadku Polska rzuci swe drogocenne siły „pour le roi de Prusse" lub (co nieprawdopodobne!) na rzecz Kremla, w każdym zaś razie przykuta będzie do rydwanu cudzych ideologij i cudzych planów..." i t. d... (nr. 48, marzec 1934, „Polska a imperjum słowiańskie").

Potem już, numer za numerem, zaczyna się jedno pasmo ostrzeżeń i nawoływań: Twórzmy własną ideę, własny plan i posłannictwo historyczne, własną dynamiczną kulturę, zdolną zjednoczyć naród i porwać go do maksymalnego wysiłku! Oto było nasze „ceterum censeo", powtarzane raz poraz, jako dominanta redakcyjna „Zetu". W miarę jak przybliżało się niebezpieczeństwo, rosło w nas poczucie tragizmu tych padających w próżnię apelów. Dałem temu wyraz w artykule „Wyścig śmiertelny" (nr. 83, listopad 1935):

„Idea posłannicza, to dusza ożywiająca naród. Naród polski, po odzyskaniu niepodległości państwa, żyje bez idei, czyli poprostu mówiąc żyje *bez życia...* Społeczeństwo polskie popadło w chocholi sen, w hoholowską jakąś kołowaciznę martwych dusz... Mówi się ludziom rzeczy *rewelacyjne,* stanowiące ich „być — nie być..." które powinny zelektryzować każdy naród żywy. *I nic.* Reakcji żadnej... Bolesny to zaiste proceder, „być widzącym w pośrodku ślepych."

Otóż p. Skiwski, w „Tygodniku Illustrowanym" zaczyna dochodzić obecnie do podobnych wniosków i tez: „Po obu stronach naszych granic wschodniej i zachodniej, huczy ocean życia, zwierają się z sobą wielkie siły, budują się rzeczy epokowe". (nr. 46, „Kryzys wybawiciel"). P. Skiwski nazywa to budowaniem „kultur typizowanych". A w Polsce co? — pyta on. Czy robi się coś dla uaktywnienia sparaliżowanej energji narodu? Jakże błędnem jest mniemanie sternika, że, by uniknąć strzaskania łodzi, wystarczy ulokować ją w martwem oku cyklonu. Dymią wokoło nas wulkany nowych kultur, dążących do owładnięcia świata. Są to kultury oparte na doktrynach. „Zapewne, każda kultura w mniejszym lub większym stopniu uległa wpływom panujących doktryn i opierała się o charakter specyficzny danego środowiska. Dziś jednak ten związek nietylko się pogłębił, wzmocnił, lecz przybrał postać nakazu planowo, z rozmysłem realizowanego." Polska, wobec tych wielkich i groźnych procesów poprzestaje na umacnianiu sztywnych ram państwowości, wyznaczając człowiekowi i społeczeństwu wewnątrz tych ram rolę bierną, bezwładną; „sprawa, jak układa się życie wewnątrz tych ram, nie istnieje, jako problemat. Zagadnienie uaktywnienia energji społecznej nietylko nie jest rozwiązane, lecz nawet sformułowane." (nr. 14, „Uaktywnienie energji społecznej").

Naród taki nie zdoła się oprzeć naciskowi i infiltracji obcej ideologji. Ubezwładniony hypnotycznem działaniem cudzych, wrogich idej, pójdzie on tam, gdzie one zechcą. Co będzie, gdy w takim stanie zaskoczy nas wojna? Czy możemy ją toczyć, mając niższy od przeciwników potencjał energji kulturalnej, pozbawieni wulkanu dynamicznej, własnej kultury? Najwyższym w tych warunkach nakazem racji stanu jest pomóc wytworzeniu się rodzimego, wielkiego ruchu ideowego. „Typizację kultury, lub jeśli kto woli: uaktywnienie energji społecznej można przeprowadzić w ramach szerszego lub węższego programu... Piętro wyższe, ideologiczne, gdzie nadaje się kierunek energji społecznej w myśl proklamowanej doktryny socjalno-filozoficznej. I piętro niższe, gdzie wre robota raczej praktyczna, zmierzająca... do *rozbudzenia* (w społeczeństwie) *uśpionej w niem energji*". Pierwszą drogę obrały Niemcy i Sowiety, drugą Włochy. (Dla nas oczywiście istotnem jest to, że obaj nasi sąsiedzi realizują ten program wyższy, program kultury dynamicznej, wynikającej z zasad doktryny — *przyp. mój).*

Tak więc p. Skiwski dochodzi do przekonania, że Polsce trzeba wielkiego renesansu energji narodowej, jakiejś rewolucji duchowej, zapłodnionej przez ideję czy doktrynę, i to doktrynę czy ideję *polską,* bez tego bowiem nie może powstać żywa. dynamiczna, typizowana kultura. Nie co innego głosi „Zet" od pierwszej chwili ukazania się. Spotykamy się więc na wspólnej platformie (lepiej późno, niż nigdy!) Okazuje się, że nasz „zmysł rzeczywistości" lepszy był, niż Boya kult faktu. Boyowskie „reformy seksualne" są dziś sromotnie zdezaktualizowane, gorzej nawet: okazuje się, że hedonizm i seksualizm Boya, cała jego propaganda „życia ułatwionego", była karygodnem niszczeniem biologicznej odporności Polski, co teraz dopiero z całą jaskrawością wychodzi na jaw, w obliczu grożących katastrof; natomiast sprawa ideowa „Zetu" stała się sprawą polskiego „być — nie być."

[Uwaga marginesowa: Miesięcznik katolicki „Pro Christo", omawiając wywody J. E. Skiwskiego, będące refleksem naszego światopoglądu, dochodzi do wniosku, że skoro kraj nasz został wzięty we dwa ognie i kwestją naszego instynktu samozachowawczego jest stworzenie własnej idei twórczej, zdolnej zwyciężyć we współczesnem zmaganiu prądów duchowych, to nie pozostaje nic innego, jak przyswoić Polsce *tomizm,* jako ową kulturotwórczą doktrynę. Otóż „Pro Christo" myli się podwójnie: 1) tomizm, mimo swej pięknej pozycji w historji filozofji i w historji katolicyzmu, jest dziś przestarzały zarówno pod względem teorjopoznawczym, jak i pod względem społecznym, 2) tomizm nie jest polską doktryną, wyrosłą z korzeni polskiego i słowiańskiego genjuszu twórczego, lecz formacją intelektualną, typową dla umysłowości romańskiej; a przecież „Pro Christo" przyznaje, za Skiwskim, że trzeba nam *polskiej* „typizowanej kultury". Pisząc to, nie twierdzę, by ta kultura nie miała być z ducha chrześcijańską, katolicką, przeciwnie, idę dalej, stawiam tezę, że winna ona być prawdziwiej i radykalniej katolicką, niż wszystko co stworzył w tej dziedzinie łaciński Zachód, że powinna być integralnym, *spełnionym chrystjanizmem*· lecz bazą takiego chrystjanizmu i takiej nowej kultury może się stać tylko *wrońskizm,* polska doktryna mesjaniczna, dystansująca tomizm nowoczesnością metod i struktury.

Dodam jeszcze: gdy myśmy krwawym, kilkuletnim trudem przeorali dusze polskie, gdy naród zaczyna sobie uświadamiać potrzebę idei i wielkiej, twórczej doktryny, zaczyna się pocieszna licytacja ofert. Czy to ładne? W każdym razie bardzo wygodne. Ale zręczność i wygodnictwo to jeszcze nie wszystko. W historji zwycięża ten, komu praca i męka twórcza dała do tego *prawo].*

J. B.

Niemcy przekroczyły Rubikon

Okazało się raz jeszcze, jak wielką jest ignorancja naszej publicystyki politycznej w sprawach wielkiej polityki międzynarodowej. Nikt nie zwrócił uwagi na przełomowość tego momentu historycznego, jakim była ratyfikacja paktu francusko-sowieckiego w Izbie Deputowanych. W tym samym czasie „Zet" wystąpił z artykułem wstępnym p. t. „Moskwa leży nad Sekwaną".

„Europa stoi nad Rubikonem — napisałem w tym artykule. — Aby go przekroczyć, wystarczy teraz jeden lekkomyślny krok ze strony... kogokolwiek... Ratyfikacja paktu sowiecko-francuskiego, to w tej wyraźnej sytuacji poprostu *lont przyłożony do beczki z prochem"*.

Wyobrażam sobie, jak się uśmiechali nad tym artykułem różni mędrkowie dziennikarscy: Wyskoczył, jak Filip z konopi. Z igły robi widły. Przecież daleko jeszcze do ostatecznej ratyfikacji. Być może, że przed wyborami pakt nie wejdzie nawet pod obrady senatu.

Istotnie, takiem było powszechne mniemanie. Przeglądając pisma, w pierwszych dniach po ratyfikacji nie znalazłem nigdzie nic prócz lakonicznych wzmianek. Jeden z poważnych dzienników twierdził nawet, biorąc asumpt ze słów wywiadu Hitlera, że teraz — wbrew oczekiwaniom — rozpocznie się era bezpośrednich rozmów francusko niemieckich, a może nawet pacyfikacja stosunków między Berlinem i Paryżem. Tymczasem już następnego dnia Niemcy nietylko wypowiedziały Locarno, lecz dosłownie „przekroczyły Rubikon", obsadzając wojskiem strefę zdemilitaryzowaną. Formalnie rzecz biorąc, sygnatarjusze Locarna, (a zwłaszcza Francja) znaleźli się przez to w stanie wojny z Niemcami. Berlin nie czekał więc na ratyfikację w Senacie, jak nasi poczciwi publicyści.

Chodziło tu bowiem nie o formalności, lecz o treść historyczną ostatnich wydarzeń. Kto nie rozumie tej treści, ten wlazi — bez nitki Arjadny — do labiryntu.

Kwestja sowiecka (i wogóle cały tak zwany „problem wschodni") stanowi oś systemu moralno-politycznego współczesności. Idzie gra na śmierć i życie. Sowiety wiedzą dobrze, że hitleryzm musi przeć do ich zniszczenia, bo to jest jego racją bytu. Ratyfikacja paktu z Francją była dla Moskwy deską ratunku, wczepiając ją w cały skomplikowany system klap bezpieczeństwa. Dla Berlina był to znowu cios straszny, który musiało się odparować natychmiast, realnie, nie na arenie dyplomatycznej. Zajęcie Nadrenji i zbudowanie w niej systemu fortyfikacyj zniweczy owoce paktu, pozwalając Niemcom trzymać Francję w szachu, podczas, gdy one, wspólnie z Japonją będą „rozwiązywać problem wschodni". Dlatego Niemcy nie mogli czekać na obrady francuskiego Senatu (jeśli spojrzymy na ten problem z ich punktu widzenia).

Odbył się wściekły pojedynek, pchnięcie szło po pchnięciu. Obecna reakcja Francji jest zrozumiała, oburzenie jej słuszne. My również mamy powody do obaw, bo nasza pozycja polityczna i militarna doznała dalszego osłabienia. Trudno jednak powstrzymać się tu od gorzkiej refleksji, że Francja sama winna temu co się stało. Powiedziałem raz, że masonerja jest demonem, klątwą historyczną Francji. Rządy bolszewizującej mafji międzynarodowej zapędzają ten nieszczęsny naród w coraz większą matnię. Klika ta robi wszystko na wywrót. Przedtem, gdy trzeba było — i można było — trzymać Niemcy w ryzach, Briand szedł na ciągłe ustępstwa, choć idea rewanżu była wówczas fundamentem psychiki i polityki niemieckiej; teraz zaś, gdy Niemcy chcą porozumienia z Francją, aby mieć wolną rękę na wschodzie, gdzie Hitler skierował ich ekspanzję, Francja zacięła się i lezie głową na dół w awanturę, wiążąc się na śmierć i życie właśnie z tą znienawidzoną przez Hitlera bolszewją. I oto mamy rezultaty tego szaleństwa. Burżuazja francuska poszła na lep Litwinowa *ze strachu przed wojną,* poto, aby właśnie przez zbliżenie z Sowietami zaawanturować się w wojnę. I sztab francuski poszukał wzmocnienia Francji w braterstwie broni z armją sowiecką, poto, by właśnie doznać fatalnego osłabienia przez wkroczenie Niemców do strefy zdemilitaryzowanej, na której istnieniu opierał się cały francuski system obronny.

Czem tłómaczyć te błędy? Oto tem, że mafja wolnomularska orjentuje się w swych posunięciach nie podług dobra danego narodu, lecz podług swoich sympatyj zakulisowych. Briand ustępował masońskiemu rządowi Stressemana, szkodząc Francji; i Sarraut zwalcza regime Hitlera za jego charakter antymasoński, bez względu na to, czy regime ten zagraża naprawdę Francji.

To, co się dzieje dziś w Europie, cały ten chaos koziołków dyplomatycznych i przegrupowań, jaki nastąpił po obsadzeniu Nadrenji, to naturalna „klątwa złego czynu". Ratyfikacja sprowokowała gwałtowny krok Niemiec, ten zaś skolei przewrócił do góry nogami wszystkie wczorajsze konfiguracje na szachownicy międzynarodowej.

Problem nadreński rozłamał się teraz na cztery zagadnienia poszczególne: 1) jak postąpi Rada Ligi Narodów, (choć z obrad londyńskich widać, że pójdzie ona na rękę Francji), 2) czy propozycje „pokojowe" Hitlera zostaną przyjęte jako podstawa nowego systemu bezpieczeństwa kolektywnego, czy też odrzucone, 3) jaki wpływ będzie miała rozbieżność zdań Francji i Anglji w tej drażliwej kwestji na dalsze losy ententy francusko-angielskiej, 4) jakie będą reperkusje powyższego zagadnienia na terenie kwestji włosko-abisyńskiej (co uczynią Włochy, czy sankcje antywłoskie zostaną cofnięte i t. d.).

Nie jest to oczywiście wszystko. Determinacja Francji jest tak wielka, że bez względu na łagodzące stanowisko Anglji, może ona spowodować wybuch. Z drugiej strony Sowiety, które są w tej grze głównym, choć milczącym wrogiem Niemiec, prą wyraźnie do postępowania w trybie doraźnym i jest możliwe, że spróbują zadać jakiś kontr-szach Hitlerowi, albo w Europie, *albo na terenie Dalekiego Wschodu.*

Jak się zachowa Polska w tej nowej konjunkturze? Myślę, że nie wie tego nikt w Europie. Gorzej, że ona sama zdaje się tego nie wiedzieć. Jest to skutek fatalnej dezorjentacji rządu co do misji dziejowej Polski w Europie, oraz zupełnego nieprzygotowania polskiej opinji publicznej do przełomowych momentów, jakie dziś przeżywamy. Faktem jest, że jedni opowiadają się w tej aferze za Niemcami, drudzy za Francją. Nasza pozycja mocarstwowa i militarna uległa w ostatnim roku ogromnemu osłabieniu. Pewne objawy sygnalizują przebudzenie się społeczeństwa ze śpiączki ideowej. Mówi się powszechnie o potrzebie militarnego wzmocnienia Polski przez dozbrojenie, a także o mobilizacji psychicznej mas polskich. Ale czy to wystarczy? Czy naród zdobędzie się na jedno i drugie — w obecnym stanie inercji i zubożenia materjalnego — bez potężnego impulsu wielkiej, posłanniczej idei?

Feralna trzynastka

Wyróżnienie tomiku poezyj *Trzynaście wierszy* Świętopełka Karpińskiego nagrodą młodych Akademji Literatury powoduje, że zbiorkiem tym należy zająć się nieco obszerniej niżby na to zasługiwał jako „rzecz sama w sobie". Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Noblesse oblige, i komu więcej dano, od tego więcej należy się spodziewać.

Ostatni tomik Karpińskiego, to prawdziwie rodzony brat wydanego przed rokiem *Mieszczańskiego poematu,* stwierdzający stałą linję rozwojową talentu i twórczości ich autora. Podobieństwo to utwierdza też w przekonaniu o słuszności i trafności refleksyj nasuwanych przez „Trzynaście wierszy".

Niewątpliwie poezja Karpińskiego posiada, jako cechę zasadniczą, specyficzną, własną, oryginalną atmosferę. Atmosfera to jednak ciężka, kameralnie duszna, przegniła, atmosfera schyłkowości, epigonizmu, przedwczesnej, niedojrzałej przejrzałości, „aprenuledelużyzmu"—przyczem schyłkowość ta w rozmiarach bynajmniej nie tragicznie — wielkich. Nie znajdujemy w niej echa jakowychś zmagań, czy klęsk. Poprostu kapitulacja przed walką, ucieczka... właściwie trudno powiedzieć dokąd. Bo nie jest to bohema. O nie! To tylko taka drobnomieszczańska, bardzo warszawska, podrzędna demi-bohema,poetycki dancing-bridge podejrzanego gatunku. Potęgują to wrażenie liczne, bardzo liczne efekciarstwa autora, wpadające często - gęsto w pretensjonalne sztuczności.

Przechodząc do zalet poezji Karpińskiego, stwierdzić należy, że ma ona swe punkty mocne, walory które mogłyby, przy zmianie stosunku poety do swej twórczości, stanowić dlań poważny punkt oparcia. Dobry materjał poetycki ma autor w postaci oryginalnej, śmiałej metaforyki, którą często niepotrzebnie przeszarżowuje. Wiersz jego posiada silną dozę kinetyki *(to jeszcze nie dynamika!),* jest wreszcie często prawdziwie sugestywny, przekonywujący. Przy znacznej inwencji — to sporo.

Zalet i wad wymienionych wyżej nie popieram cytatami z wierszy tylko dlatego, że byłoby ich zbyt wiele.

Forma poezji Karpińskiego silnie zachowawcza, nie wykazuje specjalnej w tym kierunku wynalazczości ani zainteresowań.

Mimo pozorów ekscentryczno-światoburczych, „Trzynaście wierszy" to jednak bardzo — mieszczański poemat...

— — — — — — —

Trudno snuć domysły co skłoniło Akademję Literatury do odznaczenia zbiorku Karpińskiego nagrodą młodych. Wszystko przemawia za przypuszczeniem, że to nowy, gruby błąd Akademji. Nie ulega wątpliwości, że młodych poetów o dorobku poetyckim niegorszym napewno od klasy reprezentowanej przez Karpińskiego możnaby wyliczyć conajmniej kilku. Jeżeli zaś chodzi o najbardziej na nagrodę zasługujących, mimo zdecydowanie przeciwnego stanowiska ideowego, w pierwszym rzędzie wymienilibyśmy Józefa Łobodowskiego. Nie wszystkie wiersze jego „Rozmowy z Ojczyzną" są równe; pisałem swego czasu w Zecie w recenzji z tego zbioru: „...Słowo o Dzierżyńskim, które oby nie weszło było w skład tomu..." niemniej reprezentuje on, jako całość, poetycką *klasę,* a ze swym „hinterlandem" pierwszorzędnych przekładów z poezji rosyjskiej, stanowi poważny dorobek poetycki, któremu Karpiński nie może przeciwstawić nic, lub prawie nic. Ideologji (o to zapewne chodziło), nawet błędnej, ale stającej się, *ewoluującej,* żyjącej, nie można przeciwstawiać impasu, pustki, ruiny... Gdybyż to chociaż ruiny!

Nagrodzony tom Karpińskiego, to dla Akademji prawdziwie feralna trzynastka.

M. Starost.

Książki nadesłane

Karol Homolacz: Zasada harmonji w sztuce i w życiu. Kraków 1936. Nakładem własnym. Str. 78.

Rud. I. Maly: Kriż nad Evropou revoluce dvacátého stoleti. Praha 1935. Nakł. A. Neuberta. Str. 253.

Elżbieta Radzicjowska: Kochanka Wichrów. Kraków 1936. Księgarnia „Nauka i Sztuka. Str. 38.

Feliks Przyjemski: Walka o niepodległość kulturalno-gospodarczą Polski. Kraków 1936. Bibljoteka „Samodzielności" nr. 2. Str. 11.

Tadeusz Peiper: Ma lat 22. Powieść (Z serji „Poprzez lata"). Kraków 1936. Koło Wydawnicze „Teraz". Str. 389.

Konstanty Troczyński: Elementy form literackich. Poznań 1936. Księgarnia Uniwersytecka Jan Jachowski. Str. 72.

Sergjusz Hessen i Mikołaj Hans: Pedagogika i szkolnictwo w Rosji Sowieckiej. Rozwój szkolnictwa sowieckiego i zmiany polityki oświatowej od rewolucji październikowej do końca planu pięciolecia. (1917—1832). *Przeł. dr. Adam Zieleńczyk.* Warszawa 1936. Bibljoteka przekładów dzieł pedagogicznych t. 24. Nakł. Książnicy-Atlas. Str. 308.

REDAKCJA — ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Redaktor przyjmuje we wtorki od g. 18 — 19, piątki od g. 12 — 13. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.